

— Aniołku mój! skarbie mój! — szeptała, całując dziecinę.

Poczem — jakby zdając się na wolę Boską — rzekła:

— Dokąd chcesz, żebym ją zawiozła?

— Ha, ha! mateczko droga, nareszcie odzyskujesz rozsądek! — zachichotał Korf śmiechem szczerzym.

Ona zaś, tuląc niemowlę do piersi, odparła:

— Czyż niedość grzechu, że gwałtownością swoją zabiłeś ojca? Czyż ja, matka, mam syna mego popychać do nowych grzechów śmiertelnych i pozbawić cię nawet nadziei łaski i przebaczenia w życiu przyszłym?!.. Ulegam twojej woli, uczynię, co zechcesz, lecz przysiądź mi musisz, że ani dziecku, ani matce nie stanie się nic złego.

On, z właściwą sobie łatwością nagłego przeczucia się z uczuć do uczuć i z wrażeń do wrażeń, już zdawał się zupełnie spokojny, już uśmiechał się dobrodusznym. Cieszył się odniesieniem nad matką zwycięstwem, bo przewidywał, że pokona i żonę. Mówił więc, jeszcze z odcieniem gorączkowego podniecenia w głosie, lecz tonem łagodnym, pełnym jednak męskiej siły i stanowczości niezłomnej:

— Czyżbym dotąd otaczał obie najczulszemi staraniami, gdybym zamierzał coś złego im wyrządzić i narazić je na jakiekolwiek cierpienia?... Przysięgam ci najsolennie, jak to już zresztą przysięgłem Zofii, że będą szczęśliwe... lecz i ja chcę posiadać część należnego mi tu na ziemi szczęścia... i przysięgam, że je posiadę. Od ciebie zaś żądam tylko, żebyś mnie słuchała.

— Mów zatem.

— Dla całego świata Janinka jest i będzie zawsze moją córką... Pragnę, aby równie w Warszawie, jak w Paryżu wszyscy byli o tem bezwzględnie przekonani... spodziewam się zaś, że nikt nie zdradzi tajemnicy, bo nikomu do spraw moich mieszać się nie pozwalam. Wybierając Castillon nad miejsce urodzin małej, chciałem zarazem rozłączyć Zofię na ten czas ze wszystkimi jej krewnymi i znajomymi, co mi się najkompletniej udało. Żaden i żadna z nich nie założyła sobie trudu, żeby tu przyjechać, choćby na krótko. Znam egoizm tych ludzi... i na niego liczyłem. Dla Zofii, prócz ciebie i mnie, wszyscy w całej rodzinie są obcy. Tu zatem dopiero stałem się jej samowładnym panem.

— Ach! strasznym byłeś i strasznym jesteś dotąd człowiekiem!... zawsze jednakim, gdy czegoś namiętnie pożądasz...

— Nie o tem teraz mowa! — odparł lekceważąco; poczem ciągnął dalej: — Marczak przysłał nam mamkę, nie mającą... ma się rozumieć... najmniejszego pojęcia o języku francuskim, a tembardziej o miejscowym ludowym narzeczu. Taką właśnie mieć tu chciałem... Ty jednak nauczyłaś się porozumiewać z nią na migi. Musisz zatem zabrać ją wraz z dzieckiem i oddać się stąd natychmiast przed przybyciem Zofii.

— A ty co zrobisz?

— Pozostanę tu z moją żoną... — zachichotał znowu dzikim jakimś, groźnym, szatańskim śmiechem. Będzie to sam na sam, sprzyjające miłości. Czy ktokolwiekbyś ośmielił się poczytać mi za zbrodnię, że chcę być kochany przez żonę?... No! idź, przyprowadź mamkę. Zabierzcie wszystko, czego dziecko potrzebować może i wynoście się stąd czempredzej!

Rutkowska nagle pozbawiona woli, drżąc i złamana moralnie, poszła po Kaliszanę, aby razem z nią zając się upakowaniem w nieduży koszyku garderoby Janinki.

Korf tymczasem wysunął się na balkon i trzymając lornetkę przy oczach, badał odległości góryste, ciągnące się pomiędzy willą a doliną Mentony, wiedział bowiem, że Zofia w tym kierunku zwykle zwraca swoje kroki, gdy sama wyrusza na dalszą wycieczkę. Spostrzegł ją na jednym z zakrętów drogi, stojącą w miejscu, z którego rozciągał się wspaniały widok na morze, ciemnym szafirem odrzynające się na widnokręgu od błękitnego, łączącego się z niem nieba.

— Myśli o nim! — szepnął do siebie z wściekłością. Jak ona umie być wierną zmarłemu!... W

jaki sposób ten nieznajomy, o którym wspomnienie druzgocze moje szczęście, wzbudził w jej sercu tak silną i trwałą miłość?!

Wrócił do pokoju i prawie grubiańskim tonem przynaglał matkę do pośpiechu.

— Dalej! prędzej! uwijaj się mateczko!

Rutkowska opóźniała się umyślnie, bo ile razy nie było go w pokoju, nie oddziaływał na nią hipnotyczną sugestją swojej woli i swego wzroku, a ona wówczas nie zdawała sobie sprawy, jak mogła zgodzić się na spełnienie tak okrutnego rozkazu.

— Słuchaj! — mówił baron — nie dochodząc do doliny Sospel... nieco wyżej, na prawo, na skalistym zboczku, zwróconem ku południowi... stoi duża, murowana chata...

— Wiem... znam, chata ojca Tomasza, który wraz ze swymi dwoma mułami udał się na cały sezon zimowy do Nizy...

— Tak. Nająłem dom jego przed dwoma miesiącami... i przygotowałem w nim wszystko, co tylko może ci być potrzebnem w ciągu twego krót-



— Myśli o nim! — szepnął do siebie z wściekłością.

kiego tam pobytu z mamką i dzieckiem, bo przypuszczam — dodał z dumną wiarą w moc swojej przewagi — że długo tam nie zabawicie. Zresztą wiem, jak umiesz dawać sobie radę w najcięższych nawet warunkach życia... Ruszajcie więc co żywo, bo Zofia nadejść może.

— Pamiętaj, co mi przysięgłeś!

— A ty pamiętaj, co zdolny jestem uczynić, gdy mnie kto nie słucha i chce mi się sprzeciwić!

Właśnie myśl o tem „co syn jej uczynić zdolny“, skłaniała biedną Rutkowską do posłuszeństwa. Wzięła Janinkę na ręce i twarzyczkę dziecka zbliżyła do ust Korfa, który odwrócił się ze wstrętem.

— Nie pocałujesz jej? — zapytała z naiwnością, wrodzoną pocziwemu sercu.

On wybuchnął znowu sarkastycznym chichotem.

— Od dziś całować ją będę tylko wtedy, gdy mnie jej matka pocałuje. No! ruszaj-że, ruszaj jak najprędzej!

Rutkowska zwróciła kroki na lewo ku dolinie Sospel, przyciskając do piersi ukochaną dziecinę. Za nią postępowała mamka obojętna, ospała, zadumana o sułtem wynagrodzeniu, przyrzeczonem jej przez barona za wykarmienie Janinki. Myśla-

ła, jakby to najprędzej uczynić zadość zobowiązaniu i porzucić ten przeklęty, skalisty kraj, w którym niema zimy, chociaż zimno nieraz dokucza, powrócić do rodzinnej wioski, dokupić szmat ziemi, przylegającej do jej gruntu i gospodarować tak, żeby Bogu była chwała, dla niej i dla dzieci korzystać, a zazdrość sąsiadom. Bo miała „okropnie“ złych sąsiadów, co jej wszelkiego dobra „straszenie“ zazdrościli.

Korf, sprawdzwszy przy pomocy lornetki, że Zofia nie przybędzie do Castillon wcześniej, niż za godzinę, a wciąż jeszcze podejrzewając matkę o zdradę, kroczył za nią powoli w oddaleniu jakich przynajmniej paru tysięcy metrów. I miał poniekąd słuszną, że matce nie ufał, bo gdyby Rutkowska nie czuła, że syn z oka jej nie spuszcza, zbiegłaby niezawodnie na jedną z bocznych ścieżek, wijących się tu w różne strony, aby dostać się do przeciwnego, głównego gościńca, ciągnącego się od Mentony, a zaczaiwszy się za pierwszą lepszą skałą, czekałaby na synową, by ją uprzedzić, że niema czego się lękać, bo ona otoczy Janinkę najczulszemi staraniami i opieką, zatem dziecku nic a nic złego stać się nie może. Lecz ile razy odwróciła się za siebie, spostrzegła wyniosłą postać syna, sterzącą na przełęczy, rozdzielającej obie doliny i dominującej nad niemi. Więc zrezygnowana szła dalej.

— Lepiej, że idę — myślała — wiem przynajmniej, że dziecko ocale!

Spuściwszy się niemal na same dno głębokiego, rozszerzającego się dopiero w tem miejscu wąwozu, zawróciła na prawo, nieco wyżej pod górę — i drożyną, po której przed paru miesiącami stapały muły ojca Tomasza, dotarła do jego chaty, przed którą powitał ją pies ogromny, łaszczący się wesoło i życzliwie, widocznie odgrywający tu rolę stróża i strażnika. Prawdopodobnie nie właściciel starego, opuszczonego domostwa pozostawił go tam, tylko ten, który oddawna przemysliwał nad wszelkimi środkami, doprowadzić go mającymi do upragnionego celu, starając się jednak, aby te środki nosiły na sobie pozory delikatności i dobroci.

X.

Wspomnienia.

Korf, chociaż teraz pewny, że matka nie spotka się z Zofią, pozostał przecież na przełęczy. Usiadł na odlamie skały, wyrastającym ze skalistego grzbietu i zamyślił się głęboko.

Mimowoli przypomniał sobie całą swoją przeszłość: lata dzieciństwa i pierwszej młodości... wszystko, co sam kiedykolwiek doznał, spełnił, widział i odczuł, a również to, czego nie mógł widzieć i odczuć, a co opowiedziała mu Rutkowska. Wysiłkiem woli wskrzesił w pamięci czasy, gdy jako malec złośliwy, gwałtowny, bezczelny i dziki przewodził bandzie bębnow-urwiszów i na jej czele szerzył postrach w pośród mieszkańców Castillon; gdy zuchwale zachowywał się z matką, a groźnie stawiał czoło ojcu, rzucając się na niego niekiedy, jak rozjuszony brytan, spuszczonego z łańcucha.

W domu niepodobna było dać sobie z nim rady; hardy i gwałtowny, lekceważący rodziców i sąsiadów, nie dał się poskromić nikomu. W dwunastym roku życia zapisano go jako chłopca okrutnego do marynarki handlowej. Zdawało się, że sam tego pragnie, bo awanturniczy jego umysł pożądał przygód nadzwyczajnych i niepowszednich przedsięwzięć, więc może w starciu z rzeczywistością ułtemperuje się i uspokoi. Zawiódł jednak pokładane w nim nadzieje. Do lat osmnastu pędził hulaszczę, rozpustne i niemal rozbójnicze życie na różnych pokładach i we wszystkich portach morza Śródziemnego, Adryatyckiego i Czarnego, tak w Europie jak w Afryce i Azji Mniejszej. Czego on wówczas nie nabroił! Czego nie użył i nie nadużył!

Z chwil owych jedno szczególnie wspomnienie przejęło go zimnym dreszczem...

(Ciąg dalszy nastąpi).